

GŁOS WYBRZEŻA
ul. Targ Drzewny 3/7
80-836 Gdańsk

Nr 103 z dn. 14-07-80

Nasza recenzja

„Czego nie widać”

WYBUCHY śmiechu towarzyszą wielokrotnie temu przedstawieniu. Sytuacji zabawnych i prawdziwie dowcipnych jest sporo. Wieczór premierowy w Teatrze „Wybrzeże” zamykający sezon ucieszył wyraźnie publiczność.

Sztuka „Czego nie widać” Michaela Frayna — angielskiego współczesnego pisarza — stworzyła znakomite możliwości komediowych kreacji zespołowi aktorskiemu, reżyserowi, dała szansę na niezłe pomysły, a widzom okazję do zabawy. Fabułą jest przewrotna. Teatr w teatrze. Na objazdowej scenie dość przeciętny reżyser z równie niewybijającymi się, choć sympatycznymi aktorami, przygotowuje sztukę Robina Housmongera „Co widać”. Jest to opowieść o „domu niebiańskiego spokoju”, który stoi do wynajęcia. Gospodarze niby wyjechali do Hiszpanii, ale po kryjomu wrócili, paniątka z biura podatkowego spotka się tu z urzędnikiem, by spędzić uroczę popołudnie, a nad wszystkim czuwa wspaniała gospodyni pani Clackett. Taką fabułę grają aktorzy.

Ale ważniejsze w tej sztuce jest to, czego na scenie zazwyczaj nie widać, a więc to, co dzieje się z aktorami między sceną a prywatnością. Wiele trafnych obserwacji zawarł Frayn w tej sztuce. Aktorzy są ludźmi wrażliwymi, przeżywają swoje sukcesy euforycznie, a porażki nadwrażli-

wie. Chcą się podobać i chcą być kochani. Ich świat sukcesu kształtuje najczęściej publiczność, to ona czyni z nich idoli. W tej otoczce „wielkiego świata” żyją często zwyczajni, o różnych zdolnościach i charakterach ludzie.

Reżyser komedii „Czego nie widać” Paweł Pitera wymyślił, że będzie to współbrzmienie wielu konwencji. I ten pomysł „zagrał” w przedstawieniu znakomicie. A więc są i ostre dramatyczne role, i wodewilowe śmieszności, i komedia z odrobiną psychologicznej refleksji. Przedstawienie ma tempo, choć pierwszemu aktowi przydałoby się nieco reżyserskich skrótów. Dwa pozostałe akty to czyste szaleństwo. Gonitwa, spadanie, bijatyka, wpadanie na siebie, kwiaty które raz są raz ich nie ma, kostium który własnie zniknął i rekwizyt, który się gdzieś zapodział. Aktorzy znakomicie nadążają z wielością zmian sytuacyjnych. Biegają wspaniale, kłócą się bez zarzutu. Są naprawdę śmieszni. Aż dziw, że nic nie pomylilo się w sposób widoczny. Aż dziw, że nic się nie zachwiało. Drugi akt pantomimiczno-słowny jest najzabawniejszy.

Słowa uznania należą się Lucynie Legut, która po kilku latach pojawiła się na scenie we wspanialej formie i dobrze (nawet w szczegółach) opracowanej roli. Jest zarówno jako służąca i jako grająca aktorkę — aktorka świetna. Chodzi na paluszkach delikatnie, z przejścia przekrzywia się jej kokarda we włosach, nosi telerzyki z sardynkami jak automat. Wchodzi i

wychodzi jak zjawia albo burza. Zresztą wszystkie role w tym przedstawieniu są bardzo dobrze obsadzone i wręcz po mistrzowskiemu zagrane. Jerzy Łapiński w roli złodzieja jest śmieszny, żalosny. Nawet sposób piszczenia (mówienia) ma dotąd widzom nie prezentowany. Jerzy Kiszkiś jako czołowa „fujara” w zespole niebawale poważny, porządny i dociekliwy jakże jest zabawny przez tą swoją dokładność. Joanna Bogacka jako Belinda Blair zna wszystkie tajemnice kolegów aktorów, wie kto, z kim i dlaczego, a równocześnie jest dla wszystkich nad wyraz dobra. Zabawna jest także Maria Mielnikow w charakterystycznej roli nieco nierozgarniętej lecz podobającej się reżyserowi (Krzysztof Matuszewski) — paniątka. Natomiast Sławomira Kozieniec jest zasadniczą i poważną asystentką, ale też ulega ogólnemu szaleństwu. Mirosław Krawczyk wspaniał, przystojny amant (rodem z lat trzydziestych) zaleca się w wdziękiem do każdej z pań. A Jacek Godek jako inspicjent demonstruje swój stan zmęczenia ciągłym przewracaniem się, robi to uprawnie.

Wspaniała jest scena z trzema złodziejami w trzecim akcie. Do tej ogólnej bieganiny świetnie dostosowali wnętrza scenografowie Łucja i Bruno Sobczakowie. Niby XVI-wieczny zaadaptowany młyn, w którym trochę straszy i w którym jest mnóstwo drzwi. One w tej sztuce też grają.

ALINA KIETRYS